



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

LUCYA Z KSIĄŻĄT GEDROICÓW

RAUTENSTRAUCHOWA.

Dnia 3 Maja w Now. Aleksandryi, w pięknym, zacisznym dworze, zwanym „Cienistą“, przestało bić jedno szlachetne serce niewieście—szlachetne nie dlatego, że miało w sobie krew starożytnego książęcego rodu, ale że umiało zawsze czuć gorąco i zacie, że było zawsze w tych uczuciach swoich uczciwie czystym. Zmarła, Lucya Barbara z książąt Gedroiców Rautenstrachowa, była może ostatnią ze znanych postaci tej burzliwej, wielkimi wypadkami wojen napoleońskich wstrząsanej epoki, w której też i ludzie wyrabiali się duchem silnie i rozszerzali sobie piersi chwytanem w nie powietrzem. Urodzona na schyłku zeszłego wieku, w 1798 r., w starem gnieździe rodzinnem Bobcinie, na pograniczu Żmudzi z Litwą, w pobliżu ujścia rzeki Niewiaży do Niemna, „w kraju pięknym i żyznym“, jak pisze sama we *Wspomnieniu Rodzinnem* o siostrze swej Kunegundzie Białopiotrowiczowej, które w 1884 r. drukowała w *Kłosach*. Młodość jej, jej dzieciństwo nawet nie było szczęśliwe dla tych właśnie wielkich przewrotów jej czasu. Najpierwsze jej wspomnienia dziecięce łączą się z niemi; ojciec jej, Romuald Gedroić, pchany politycznymi wypadkami wyjechał z kraju i przebywał w Paryżu, gdzie poznał Józefinę Beauharnais, tylko co po jej wypuszczeniu z więzienia Konwencji. Zmęczona i chora, zboleła po strasznej śmierci męża, którego głowa spadła na krwawą deskę gilotyny, zawiązała tkliwy stosunek przyjaźni z człowiekiem też smutnym i tęskniącym za domem, za żoną i dziećmi. We „*Wspomnieniu Rodzinnem*“ nie ma wzmianki, w jaki sposób przyjaźń ta się zawarła; że przecież francuzki

pisarz, Emil de Saint Hilaire wspomina w swojej książce o Napoleonie, jakoby leczący Józefinę doktor Polak miał ją wybawić z więzienia odważnem świadectwem, że umrze, jeżeli dłużej w niem pozostanie—może być, że ten nieznany z nazwiska człowiek którego autor francuzki nazewa „śmiałym i zacnym“ stał się łącznikiem między niemi i wytworzył położenie, które w następstwie swojem wywarło wpływ wielki na życie Lucyi Barbary, jeszcze nie żyjącej podówczas na świecie. Przyjaźń między polskim emigrantem, a wdową po wice-hrabim Beauharnais była tak żywą, że Napoleon, już wtedy kochający ją, czuł się zazdrosnym, niesłusznie przecież, bo serce Gedroica było pełne tęsknoty za żoną i dziećmi zostawionymi w rodzinnym dworze nad Niewiążą. Złączył też potem obu mężczyzn: przyjaciela i kochanka, życzliwy również stosunek i według wspomnień rodzinnych Lucyi Barbary, książę Gedroić skłonił głównie Józefinę do pójścia za młodego generała, a małżeństwo to nie wpłynęło bynajmniej na zmieniienie przyjaźni jego zażyłości z Józefiną, bo wtedy-to ułożono projekt na daleką jeszcze przyszłość, w której młodziuchny adjutant swego ojczyma, Eugeniusz Beauharnis, miał poślubić kiedyś malutką wtedy, dwuletnią córkę Gedroicia, Kunegundę, której zawezwanie potem na dwór francuzki odbiło się przez wpływ zmienionych okoliczności życia na losy rodziny i zarazem na wrażenia, wśród których dorastała Lucya Barbara.

Urodzona już za powrotem ojca do kraju, chowała się cicho w wiosce rodzinnej do lat czterdnastu. Guwernantkę miała Francuzkę, jakich wielka liczba była wtedy po dworach szlacheckich; za Ludwikiem XVIII przyciągnęło do Polski mnóstwo emigrantów francuzkich, i dla języka, który już wtedy, może nawet więcej niż dziś, był mową salonów i wyższego towarzystwa, szlachta nasza ściągała ich do dzieci swoich z wielką szkodą dla starej prostoty obyczajów

narodowego, który ta rzesza rozbitków rugowała, piętnując mianem dzikości sarmackiej. We wspomnieniach Lucyi Barbary nie spotyka się żadna pod tym względem wzmianka; wieść głosi, że zostawiła pamiątki, w których zapewne znajdzie się coś więcej z osobistych jej wspomnień pierwszej młodości. Obecnie wiemy tylko, że ta guwernantka jej, M me Berthet, przyjęta na dwór polskiego pana z córką, trochę młodszą od Lucyi Barbary, była żoną kamerdynera Ludwika XVIII, który przybywszy do Warszawy, musiał dwór swój ścieścić i dlatego oddał kamerdynera, a ten z żoną i dwojgiem dzieci został łaskawie zciągnięty do Bobcina. Wkrótce potem mąż wraz z synem znalazł w okolicy miejsce też guwernera, a żona z córką zostały przy młodej księżniczce. Cóż poważniejszej nauki, niż ta guwernantka dać była w stanie, może otrzymała Lucya Barbara od kapelana, Francuza także, rodem z Lotaryngii, Steinhofa, o którego pobycie w Bobcinie wzmiankuje we *Wspomnieniu Rodzinnem*.

W Grudniu r. 1804 doszedł do Bobcina list z bardzo, jak na owe czasy, daleka — list pisany przez Józefinę, a teraz cesarzową Francyi. Pisała go własnoręcznie w zamku Saint-Cloud do dawnego przyjaciela zaraz po koronacji, wzywając go, aby jej przywiózł starszą córkę, już teraz dorosłą pannę. Czyniła ją damą dworu, a świadczyło to, jak niekonwencyalne, ale rzeczywiście serdeczne było uczucie przyjaźni, które łączyło ją niegdyś z polskim szlachcicem. Nie zapomniała o nim w najświetniejszych dniach chwały i wyniesienia swego, i te dzieci, o których mówił jej wtedy tęsknie tuląc smutny, zapragnęła mieć teraz blisko swego tronu, bo żądała, aby i syna Józefa przysłał Gedroić do Paryża, do gwardyi cesarskiej. Tego tylko, odpowiadając na żądanie cesarzowej, wysłał ojciec do Francyi, do oddziału Wincentego Krasińskiego, (ojca poety) i ten-to, o którym mylnie wspominał

w *Kłosach* K. Zieliński, że siostra chowała się przy nim w Paryżu, ciężko ranny pod Waterloo, wydobyty tam był z pomiędzy trupów z głową wzdłuż od ucha przeciętą, ogłuchły na zawsze. Księżniczka Kunegunda pozostała w domu, aż do r. 1812. Wyjazd jej do Paryża, utrzymanie na dworze Tuilleryjskim, który był wtedy pierwszym dworem świata, pełnym blasku i świetności, było rzeczą kosztowną — i powstrzymano się od tego.

Aż przyszedł 1812 r., przyszły silne wstrząśnienia, które się odbiły i na cichej wiosce nad Niewiażą. Napoleon szedł na Rosyję, która, to gromadziła wojska swoje nad Niemnem, to, zmieniając plan kampanii, cofała je w głąb, a wszystko wrzało dokoła. „Jedni kołysali się wielkimi nadziejami, drudzy czuli się przejęci trwogą“ — pisze Lucyja Barbara, na której młoda wyobraźnia te obrazy, jak z Apokalypsis odtworzone musiały odbić się wielkiem, wstrząsającym wrażeniem, i spodziewać się można, że jeżeli pamiętniki jej znajdą się rzeczywicie, karty poświęcone tem wspomnieniom będą wysoce ciekawe i zajmujące. Matka z córkami wyjechały do Wilna, lękając się, ze względu na miejscowość, aby nie znalazły się wkrótce wśród teatru wojny i niebezpieczeństw, jakie niosła ze sobą i swemi tłumami wojsk różnojęzycznych. Ojciec cofnął się też w dalszą okolicę, bo chodzili wieści głuche o uprowadzaniu siłą dawnych wojskowych i kniaziowski dwór nad Niewiażą, a raczej „pałac duży, murowany“ jak pisze Lucyja Barbara, pozostał samotny, czekając niewiedzin jeszcze jakich panów, a może w końcu rabunku i płomieni.

Naraz Napoleon, skoro tylko wjechał do Wilna, zapytał o Gedroicia, gdzie jest? Księżna posłała natychmiast do męża sztafetę, a Napoleon zapragnął widzieć ją i dzieci. Spotkanie nastąpiło na balu, danym przez generała Paca. Gdy tylko Napoleon wszedł do sali, gdzie w głębi znajdował się na podwyższeniu fotel, mający zastąpić tron, ledwo skłonił się obecnym, natychmiast zachciał mieć przedstawioną sobie generałową Gedroic, i zapytał ją zaraz o męża, a potem dodał, że księżniczkę Kunegundę trzeba teraz wieść do Medyolanu, bo tam Cesarzowa Józefina przebywa u syna Eugeniusza. Już to był teraz małżonek królowy bawarskiej, ale jeżeli zmieniły się snute niegdyś w marzeniach plany, tworząca je życzliwość dawna pozostała. Napoleon rozmawiał uprzejmie z żoną starego przyjaciela, rozmawiał podobnie z młodą księżniczką, o której siostra pisze, że była bardzo piękna i „wykształcona“; najmłodszego z rodziny syna, wyrostka, głaskał po twarzy. Napoleon przebywał w mieście dwa tygodnie, gdy wyjechał mówiono, że „jedzie zbierać laury.“ Wieści nadchodzące z placu boju sprawiały, że miasto było co dzień illuminowane. Książę Bassano, którego cesarz mianował gubernatorem, dawał co tydzień bal i „już nie pytano kto zginął, ale ile jeszcze walecznych pozostało“ aby iść na szturm ostatni, aż nagle wszystko się zmieniło i przetrwarza. „Balowe sale wileńskie przemieniły się w szpitale, zajeżdżały przed nie całe wozy rannych, a tak przywiezieni mogli się uważać za szczęśliwych wobec tych, co wracali pieszo, o kuli, zgłodnieli, w pół zmarli, błagając o kąt schronienia.“

Ojciec każe matce z dziećmi wyjeżdżać, choć „cały kraj, wszystkie drogi pokryły się maruderami.“ Ale brakuje pieniędzy na drogę i trzeba przedawać za pół wartości stare srebra rodzinne, których przecież nikt nie chce kupić, złotnik żaden. Nastrocza się jakiś kramarz niepoctywy, daje zadatek, bierze srebra, lecz znika potem wśród zamieszania wielkich wypadków i nie wraca już nigdy.

Jakimi wrażeniami musiało się to wszystko odbić na dziewczęciu młodziuchnem, jak musiało dodać poważnego, zaciężkiego może na wczesne jej lata, poglądu na życie? nie dowiadujemy się nic ze wspomnienia rodzinnego. Córki, ujeżdżając z matką, czuły, że rozdzielały się z ojcem na długo. „Żegnając się z nim nie wiedzieliśmy kiedy, i czy powitać go będzie nam dano?“ — pisze Lucyja Barbara, bo książę tworzył na prędko jakiś związek litewskiej armii; z rozbitków i pozosta-

łych po kątach resztek chciał zebrać jakąś całość, oczekiwał rozkazów z głównej kwatery. Podróż była też pełna trwogi i niewygód, koni na stacyach pocztowych brakowało, trzeba było płacić drogo i oczekiwać długo w niepokoju, czy każda godzina straconego tak czasu nie zbliża zetknięcia się z katastrofą, której kobiety samotne lękały się, może więcej niż śmierci. Raz litość skłoniła księżnę, że wzięła do swej karety ranego, który dla braku sił i otwartej rany w nodze iść dalej nie mógł. Był to Francuz, oficer; dając mu to miejsce obok siebie, księżna ratowała go od śmierci, nie wiedząc, że za chwilę dobry ten uczynek opłaci jej się stokrotnie, bo po kilku miłach jazdy kareta została napadnięta przez żołnierzy francuzkich, może dezertersów, chcących zabrać konie jakoby na potrzeby służby. Wtedy ukazał się oficer, krzyknął, że wiezie rodzinę generała, który tuż za nią dąży z oddziałem i napastnicy opuścili ręce, które chwyciły już za cugle koni. „Strach pomyśleć co-by się stało!“ — pisze Lucyja Barbara, a po wielu dziesiątkach lat jeszcze czuć w niej przerażenie tej myśli okrutnej, gdyby samotne kobiety było pozostały wśród drogi, wydane na pastwę maruderów.

Po długiej, ciężkiej podróży odbywanej pod wrażeniem porażki, pod uczuciem zniweczonych nadziei, przybyło do smutnego, przerażonego Paryża, gdzie cudzoziemki nie deżnały gościnnego przyjęcia. Tam poza sobą pozostawiano wielkie, tragiczne zapasy narodów, katakumby kości i ciał ludzkich, porożdżeranych przez kule, spalone wsie i miasta, tu trafiono na drobne, dokuźliwe przykrości, które im wyrządzała zazdrość w walce próżności i pychy nędznej. Dwory obydwoh cesarzowych: bylej i teraźniejszej, stanowiły razem jedną całość, noszącą ogólną nazwę „Maison d'Empereur“; tak Józefina, jak Marya Ludwika, chcąc mianować nową damę honorową, musiała zwoływać radę, złożoną z obu tych dworów, która przetrząsając kwalifikacje nowowyrabianej, mogła postawić swoje veto, co też spotkało księżniczkę Kunegundę, bo najpierw była nie zameżną, gdy dotąd damami honorowymi bywały zawsze meżatki tylko, powtórę cudzoziemką. Znajdowały się tu obok Francuzek Włoszki, ale cesarz Francuzów był zarazem królem włoskim, korony polskiej nie nosił przecież, z jakiejżeż racyi zatem Polka znajdować się tu miała? Józefina musiała użyć niezwykłej formuły: — Taka jest wola cesarza!... aby usunęła się zapora tych zazdrosnych niechęci. Były to spłiki małe, kłóły przecież, gdy obok tego zerwane komunikacje pocztowe nie dopuszczały żadnych wiadomości z ojczyzny, aż ktoś z uciekających przyniósł wiadomość która „napęliła trwogą okropną serca“ biednych kobiet, samotnie rzuconych w świat obcy, między nieprzyjaznych im ludzi. Generał Gedroic został wzięty do niewoli wraz z synem i dwoma adjutantami. Obaj adjutanci, Laskarys i Białopietrowicz, leżeli ciężko ranni w lazarecie, księcia wraz ze synem wysłano nad Białe Morze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z poezji północno-amerykańskiej.

WILLIAM CULLEN BRYANT.

Thanatopsis.

Kto, pełen świętej miłości natury,
Rozhowor wie dzie z widzialną jej formą,
Z tym ona mówi różną coraz mową;
Gdy on wesół, ona uśmiechnięta
Wszystkie swe przed nim rozwija piękności,
A w chwilach ciężkich, posępnych, — z kojącem,
Tkliwem współczuciem do niego się zbliża
I odejmuje im całą ich gorycz.

Kiedy zatrute myśli o ostatniej
Gorzkiej godzinie owieją ci duszę,
A ciemne widma konania, całunów.
Mar, głuchej ciszy w ciasnym domu trumny,
Straszyć cię poczną i nękać twe serce,
Wyjdź z dusznej izby, het, gdzieś na swobodę,
I słuchaj zbożnie słów matki przyrody,
Co wkoło z ziemi, wód, szlaków powietrznych,
Jak napomnienie brzmią ciche:

Dni kilka

Jeszcze — i wszystkowiedzące to słońce
Już cię nie dojrzy z niebios; ani w grobie,
Który wśród płaczu przyjął twoje zwłoki,
Ani w mórz toni kształt twój trwać nie będzie
Wiecznie. Ta ziemia, która cię karmiła,
Żąda napowrót ciała twego, aby
W proch je obrócić, z którego powstało.
Musisz się pozbyć śladów człowieczeństwa,
Musisz poświęcić swój byt osobisty.
Na wieki zmieszać się z resztą pierwiastków
I bratem zostać martwej, głuchej skały,
I brył bezwładnych, które pląg roztrąca;
Korzenie dębu przewiercą twe kości.

Ale w to miejsce wiecznego spoczynku
Nie sam ty pójdziesz, i nigdy-byś nie mógł
Wymarzyć sobie świetniejszego łoża.
Będiesz spoczywał pośród patryarchów
Z zamierzchłych wieków, wśród królów i możnych
Świata całego, wśród mądrych i dobrych
I pięknych, w gronie proroków i wieszczów
O siwych włosach, — w olbrzymiej mogile.
Gór wysokości i skalne urwiska,
Stare jak światło, — spokojne doliny,
Śród nich ciągnące się, — lasy czcigodne, —
Rzeki potężnie szumiące, — i ciche
Strumienie, miękko szemrzące po błoniach,
I oceanu toń święta, prastara,
Opasująca dokoła świat cały —
Wszystko to tylko wspaniałe ozdoby,
Strój uroczysty mogiły człowieka.
Kula słoneczna, niezliczone roje
Gwiazd na niebiosach rzucają — od wieków
Na ten poważny dom śmierci swe blaski.
Czem są ci wszyscy, co chodzą po ziemi,
Wobec tych, którzy spią dawno w jej łonie?
Weź skrzydła zorzy porannej, przebiegnij
Syrtys piaszczyste pustynie, w głąb borów
Dziewiczych, stopą niezmiernych — zda się;
Zapuć swe kroki, tam, kędy Oregon
Sam jeden tylko słyszy fal swych łoskot:
I tam są zmarli; odkąd się rozpoczął
Prąd lat, miliony legły w tych pustyniach
Na sen wieczysty; zmarli tam panują.
Tak i ty spoczniesz kiedyś — i cóż tego,
Że, gdy opuścisz to życie, z przyjaciół
Żaden o ciebie się już nie zatroska?
Wszakże, co żyje, wszystko los twój dzieli!
Weseli śmiać się będą na twym grobie,
Synowie troski — dręczyć się tem gorzej,
A każdy zamki na lodzie, jak przedtem,
Budować będzie; jednak wszyscy oni
Porzucą kiedyś prace i radości,
By obok ciebie w chłodnym spocząć łożu.
Synowie ludzcy — młodzian w kwiecie wieku,
Człowiek dojrzały, dziewica, matrona,
Słaba dziecina, starzec siwowłosy —
Wszyscy, gdy długi szereg lat upłynie,
Jeden za drugim legną koło ciebie
I znikną wkrótce pod warstwami innych,
Co przyjdą, gdy ich godzina uderzy.
Żyj więc, a gdy cię kiedyś zawołają
Na uczestnika wielkiej karawany,

Dążącej w owe tajemnicze kraje,
Gdzie każdy kącik swój znajduje w zacisznym
Domowstwie śmierci, — nie idź, jak niewolnik,
Co pod biczami wraca do więzienia,
Nie! lecz spokojny i wsparty niezłomną
Potęgą wiary, idź spocząć w mogile,
Jak ten, co w płaszcz się owija wygodnie
I do snu kładzie się upragnionego.

przełożył „MIRIAM”.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. J. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Nad Xieźkiego mało było ludzi wziętszych i lepsiej kochanych. Z kośćmi dobry był w istocie, ale język miał jak brzytwę, nikomu niedarował. Prawda, że on nic nie miał na sobie, za coby darowania winy mógł prosić. Żołnierz mężny; karny, wytrwały... śmiało drugim zadawał uchybienia, bo sam sobie nie do wyrzucenia nie miał. Znało go można było powiedzieć całe koronne wojsko, a i na Litwę zabłąkał się nie jego przekąs dobitny.

W Warszawie ledwie się ukazał w gospodzie, a ktoś powiedział — Xieźki, co było wojskowych, pobiegło go witać. Oprócz tej popularności dawnej, świeża zbarazka blaskiem go nowym okryła. Tam też głodny, siedząc w błocie, niejedno pusił w świat słowo, które pozostało na wieki w pamięci.

Strzębosz, choć pośpieszył do niego, zastał już izbę pełną.

Pochwycił go wuj w ramiona i uściśkał, a potem, na krok popchnąwszy od siebie i wskazując nań ręką — zawołał:

— Panowie a bracia! proszę, przypatrzcie się temu młodzieńcowi. Choć malować! piękny, zdrowy, silny, a co po nim komu? Wziął barwę dworską, mówią, że go król jm. miłuje, ale to próżniaki! Powiedz ty mi, cóż z ciebie będzie? he? Dworskie pomiotło?

Zaczerwienił się Dyżma.

— Przepraszam — rzekł — będzie ze mnie żołnierz, bom właśnie umyślił barwę złożyć, a zbroję wdziać?

— Naprawdę? — podchwycił Xieźki — no, to chodź-że, abym cię raz jeszcze uściśkał, ale już, kiedy tak, to ja cię do mojego pułku panów Sobieskich zabiorę.

— Zgoda! — rozśmiał się Strzębosz — idzie tylko o konsens króla jmcii.

— Król, król — krzyknął Xieźki — nie może odmówić, bo sam wkrótce będzie musiał zbroję wdziać; ja wojnę i krew czuję w powietrzu. Na dworaków starczą niedołęgi i kaleki.

— Ale, ale — wtrącił Rzewuski rotmistrz — właśnie pod ten czas, gdy nami Francuzka rządzi, moda i polityka, samą śmietankę biorą do dworu.

— Z Francuzami — dodał Święcki, drugi towarzysz Xieźkiego, chorąży Lubomirskich regimentu — z Francuzami my będziemy musieli się w domu rozprawić, bo to jak perz albo pokrzywa się u nas rozrosło, a z niemi, co poprzychodziło... pludry, pudła te z włosów na głowie, z których nie wiedzieć czy się śmiać, czy od tych strasznych uciekać, i...

— Daj - bo pokój — przerwał Xieźki — tej liczbie francuzkich rzeczy, bo dojdiesz do tego, o czym strach nawet wspomnieć.

— No, a tabaka? tabaka? — odezwał się Rzewuski — smrodliwe ziele, albo to nie francuzka też rzecz?

— Tego spełna nie wiem — rozśmiał się Xieźki — ale wiem, co o niej Morsztyn napisał.

I począł deklamować:

Smrodliwe ziele, o ziele śmiertelne,
Które w krainy morzami oddzielne
Życziwe skryło od nas przyrodzenie,
Kto cię na rodu naszego stracenie,
Kto cię na brzeg nasz przywiozł łodzią krzywą.
I świat zaraził trucizną smrodliwą?
Niedosyć było, że i wojny krwawe,
Blade choroby, głody niełaskawe,
I sama starość i straszne trucizny
Króciły nam wiek, bez tego nie żyzny;
Żeś i ty naszym latom, brzydkie ziele,
Musiało kresu uszczerbić tak wiele!

Zaczęli się śmiać niektórzy i nie dano dokończyć Xieźkiemu.

— Cóż u dworu słyhać? — zapytał siostrzeńca gospodarz. — Królowa pani zdrowa? U nas chodzi wieść, że nowa amazonka ma na koni siąść i u boku króla iść na Kozaków.

— Że mężna, to pewna — rzekł Strzębosz — a na kozactwo dzikie, taki popłoch szerzy, szczególnie między kobietami, że się żadna nie waży na nie...

Xieźki się namarszczył.

— Dziec bo jest okrutniejsza — odezwał się ponuro — od zwierzęcia, które zabija, aby pożarło z głodu, a oni, aby się męczarniami napawali, zadają je. Widzieliśmy na oczy własne tam, gdzie rzeź ich przesła... ludzi piłowanych na pół, ze skóry odzieranych, dzieci z wnętrzości matek powyrzywane, dziewczęta z piersiami obrzezane.

Miczele wszyscy.

— Tak — westchnął Święcki — kto nie widział, nie uwierzy, do czego człowieka, stworzenie Boże — doprowadza szal i pijaństwo krwi.

— Radziwiłł kanclerz — wtrącił Strzębosz — powiada, — sto razy słyshałem z ust jego — iż to pomsta za ucisk ludu...

— Niech Bóg sędzi — wtrącił Święcki — ale nikt nam nie okaże, aby ucisk, o którym tyle prawią, doszedł kiedy do takiego okrucieństwa. Żli panowie, znaleźć się mogli wszędzie, ale katów i oprawców nie było!

Wszyscy się zasepili. Święcki podchwycił:

— Kto, jak my, przeżył te lata od końca panowania nieboszczyka Władysława po dziś dzień i patrzył na to, cośmy my widzieli, ten sobie rzec może, iż przeżył krwawy sen jakiś. W cóż się obróciła ta mocna niegdyś, straszna jeszcze za Zygmunta III Rzeczpospolita, której dziś pijany Chmiel, naigrawając się, dyktuje warunki! Miłosierny Jezu!

— Radziwiłł — przerwał Xieźki, obracając się do siostrzeńca — uczy nas, że to jest kara Boża za ucisk włościan. Dał się z tem pono i król słyszeć. Nie wszyscy są aniołami, między nami też zbrojów mogło być dosyć; ale na cały naród za nich tak straszny pogrom paść nie mógł. Karze nas Bóg, nie za to, że chłop różgami dostał może niesprawiedliwie, ale za próżniactwo i pijaństwo. Nie było sposobu inaczej nas wyprowadzić w pole. Patrzajcież: i teraz, połowa szlachty już radaby do domów powracać, gdy ledwie z nich wyszła...

Zwrócił się do Dyżmy.

— Jam tu niemal dla waszeczki przybył — począł, kładąc mu rękę na ramieniu. — Choćby mi przyszło do króla samego o to iść, aby cię od barwy swej zwolnił, pójdę. Nie chcę, abyś w niej zginął, albo usechł. Wiem, że z takich pokójców Pacowie i inni rosną potem na panów starostów, pisarzów, krajezych i kasztelanów, ale nam, szlachcie biednej, nie przystało tedy chodźcie. To pańskie gościńce.

W polu ci zdrowiej będzie, dziecko moje — ciągnął dalej Xieźki — może zatuszujesz zrazu za legowiskiem wygodnem i kuchnią królewską, za panienkami królowej; ale później to ci się

wszystko wyda tem, czem jest: nałogiem niezdrowym.

Strzębosz słuchał przyjaciele Xieźkiego, którzy go rzadko widywali tak poważnym, milczeli. Jowialista wydał się im zmienionym... Trwało to jednak zaledwie chwilę. Staszowski Xieźkiemu twarz się rozśmiała znowu. Święcki począł powtarzać, co w mieście słyshał o różnych poselstwach kozackich.

— Mówią o tym Chmielu — odezwał się — że proste chłopisko jest i opój, a mnie się widzi, że on nas wszystkich oszukuje tem gburówstwem swem, boć dotąd więcej rozumu okazał, niż nasi kanclerze i panowie Kisiele i ile ich tam z nim się jeździło umawiać... Wszystkich on w kamysz zapędził.

— Muszę ja w obronie dworu, królowej i króla stanąć — począł Strzębosz — nie tylko dlatego, że ich chleb jadł przez lat tyle, ale, że po sprawiedliwości się to należy.

Król, co prawda, zbyt wojennego ducha nie jest; przecieżem ja za nim krok w krok niemal jeździł pod Zborowem i widziałem go, co mogę zaprzysiądz, owej pamiętnej nocy, gdy obóz objeżdżał, i czasu bitwy tak mężnym i gotowym nawet umierać, iż mu się cześć należała; ale u niego wiatr codziennie inaczej wieje. Za to królowa, wiercie mi, wie czego chce i co raz sobie powie do tego doprowadzi, ona zaś wojny pragnie, aby nią naprawić, co się popsulo pod Zborowem; chce świetnego zwycięstwa i gdy przyjdzie ciągnąć teraz, jej staraniem, zobaczycie, wojsko stanie i liczne i piękne...

— Co daj Boże, amen — podchwycił Xieźki — ale nasza królowa, której wy tak bronicie, zwycięstwa i laurów żąda, nie dla Rzeczypospolitej głównie, tylko dla małżonka, a gdy przyjdzie do tego, żeby dla wiktoryi oddać naczelną dowództwo Jeremiu Wiśniowieckiemu, stawię gardło, że będą woleli zwycięstwa się wyrzec, niż Jeremiu dać zaćmić króla.

Wszyscy Wojewodzie Ruskiemu zazdroszczą, przyjaciół ma tylko w nas, cośmy z nim walczyli, przy jego boku byli i męża tego nawskroś przeniknęli. Dla innych on postrachem. Kozacy go się boją, jak ognia, lęka się królowa, obawia król, panowie hetmanowie zazdroszczą, a to jeden jest człowiek, z hetmanem Radziwiłłem może, któryby koniec mógł położyć nieszczęściu naszemu.

— Ale co - bo my — podchwycił Święcki — wdał się w takie głębokie politykowanie! Rzucić-by to, a weselszą piosnkę począć.

— To ją chyba kurtyzan zanuci — odparł, na siostrzeńca ukazując Xieźki. — Mów co wesolego.

Tłumaczył się Strzębosz, że zapasu nie przyniósł z sobą; weselej jakoś przecie potoczyła się rozmowa, lecz zawracała ciągle na wojnę.

— Jam tu waszmości szpiegował, Dyżmo — odezwał się Xieźki — Powiadano mi, żeś się w amory wdał z dziewczyną prawdą piękną bardzo, ale mieszczańką, zrosła na bruku, a to dla nas wieśniaków, owoc niezdrowy...

Strzębosz się zarumienił.

— Któż to wam splótł? — zapytał.

— Nie pytaj, boć nie zdradzę — śmiał się Xieźki — ale ci powiadam, że wszystko wiem i dlatego cię chcę ztąd wyrwać na czyste powietrze.

— Kochany wuju — począł gorąco Strzębosz — wiercie mi, dziewczę uczciwe i niewinne, a choć mieszczańka, nic jej zarzucić nie można.

— A matce? — spytał ze zwyciężkim uśmiechem Xieźki. — Ja na matkę patrzę więcej, niż na wyrostka, który teraz, jako lilijka biała wyglądająca może, a gdy podrośnie ozwie się w niem to wszystko, co w matce było.

— Matką się pochwalić nie mogę — rzekł smutnie Strzębosz — ale wiercie mi, nie zawsze dziecko naśladuje macierz, gdy aż do odrady śmieszna jest i niezdośna. Stara Bertoni nawet własnej córce wydawać się musi takim koczko-dnem, jak nam...

— Zapomnieć-by o obu — dodał Xieźki. — Nam wojakom nazbyt się garnąć pod podwikę nie zdrowo!

I nagle zwrócił.

— A więc, proszę króla, niechaj cię zwolni, ja pomogę i do pułku Sobieskiego zarejestruję. Nie zabrakłoby ci i gdzieś indziej miejsca, bo wszyscy zaciągają, a masz i postawę i młodość za sobą, lecz... chciałbym cię mieć na oku...

Strzębosz w ramię go pocałował.

W tem inni dobrzy znajomi jowialisty, odgłosem o jego przybyciu zwabieni, napływać zaczęli, szczupła izba napełniała się, i gwar a śmiechy ledwie się ciszej rozmówić dozwalały. Goście otaczali Xieźkiego, który się rozchmurzył i baraszkował poswojemu, nie oszczędzając nikogo. Strzębosz pozostał, nasłuchując.

Z urywanych tych opowiadań, szczególnie o Zbarażu, mógł się uczyć rycerskiego życia—i serce w nim rosło.

— Na prawdę — mówił Xieźki — co nam doskonały humor sprawiło w tych okopach pod Zbarażem, to właśnie, żeśmy się już z nich żywi wynieść nie spodziewali. Wiedzieliśmy, iż na odsiecz wiele rachować nie można, bo i takich łotrów siła było, co by się radzi Wiśniowieckiego pozbyli, tak im solą w oku i kością w gardle stał. Życia więc nikt nie szacował... głód i pragnienie rodziły jakąś gorączkę szaloną. Suchego chleba kawał był w końcu przysmakiem, a śmierdzące mięso konskie osobliwością. Chciało się wody napić: nie było innej tylko ta, w której trupy gniły; w dodatku tuż za wałem wieszali się Kozacy na swoich usypach, i z naszych wynędzniałych lic drwili, kłaniając się pokornie. Wcisnęli się ich szpiegi z listami, aby wywahać, kiedy do ostatka osłabniemy. Naostatek prochu i tego, co go umiał robić, i tych, co działa ustawiali, zabrakło. Rychtował je ksiądz jezuita; udawało mu się przy pomocy Bożej.

— Zbaraż mi przed oczyma stoi, jako sen — przerwał Świecki — Dziś się temu nie chce wierzyć, co się tam przeżyło.

Niemal cały dzień spędziwszy ze Xieźkim, Dyżma powrócił na zamek, ale się zszedł właśnie z królem, który powracał, dobranoc zaniósłszy Maryi Ludwice. Była to chwila, w której on zawsze, spełniwszy ten obowiązek, weselej patrzył. Gdy mu przychodziło na pokoje do pani iść, zasępiał się, dopiero wyswobodzony oddychał.

— Strzębosza — rzekł, oglądając się na niego — przez cały dzień nie było. Cóż to tak ferye sobie dał?

— Wuj chodzę pozdrowić, Xieźkiego — rzekł Dyżma.

Król pomyślał.

— Wiem — odparł — wiem — ten-to jest, co go z języka sławia.

— N. Panie — przerwał Strzębosz — on szablą lepiej jeszcze włada, niż językiem; dość powiedzieć, że w Zbarażu był.

Na wspomnienie Zbaraża Jan Kazimierz się zasępiał, nie odpowiedział nic.

Nazajutrz zrana Tyzenhauza kazał do siebie wołać; nie było nikogo, bo nawet karłów odprawili.

— Idź do podkanclerzyny — cicho szepnął — pozdrów ją ode mnie, i rozumie się, na cztery oczy, powiedz, aby nie ustępowała. Radziejowski do zbytku i tak napastliwy i zuchwały... pozwole kurze grzędę, będzie ona wszędy.

Poselstwo młodemu pokojowcowi wydało się tak przyjemnem, że jak tylko godzina nadeszła, o której się mógł przyzwolicie w pałacu Kazanowskich stawić, pobił tam natychmiast.

W samej bramie, traf chciał, zetknął się z podkanclerzym, który na pysznym dzianecie, niegdys wierzchowcu ulubionym s. p. Adama, osiodłanym i w rząd kosztowny przybranym, z pałacu wyjeżdżał na miasto. Radziejowski postrzegł wchodzącego, zmarszczył się i wykrzywił znacząco, a gdy Tyzenhauz przez grzeczność uchylił przed nim czapeczkę, nie odskłoniwszy mu się, głowę dumnie odwrócił.

— Oho! — rzekł w duchu — że łaski u podkanclerzego nie mam, o tem ci wiedziałem dobrze, ale, że mi już to chce okazać tak wyraziście... dowiaduję się po raz pierwszy—nos ma dobry.

Radziejowski już w bramie przystanął, obróciwszy się, chcąc widzieć dokąd Tyzenhauz się uda, i mógł się przekonać, że poszedł do pokojów żony.

— Królewski szpieg i poseł — zamruczał — ale ja go tu cierpieć nie myślę. Król się w mojej sprawie domowe wdawać nie powinien.

Miał czy nie, podkanclerzy wprzód zamierzał iść do królowej, nie wiemy; lecz po spotkaniu się z Tyzenhauzem poszedł do niej.

Ponieważ kilka wakansów było do rozdania, a Radziejowski wiozł oferty kandydatów, miał się więc czem z rannych odwiedzin wytłómaczyć.

Marya Ludwika, choć może niewiele go ceniąc, posługiwała się nim chętnie, bo jej donosił, co słyszał, — potakiwał i pochlebiał.

Rozmowa o tych senatorach, którzy się następczali, o niemiłych i podejrzanym królowej, o tych których podkanclerzy chciał uczynić jej niemiłymi, przeciągnęła się dosyć długo i już miała się zakończyć, gdy Radziejowski, westchnawszy, szepnął:

— Tyzenhauz mi się nieustannie nawija w domu, a posądzam go, że skargi jejmości do króla nosi, od niego zaś zapewnienia protekcyi, tak, że mi ona coraz się ostrzej stawia. Cóż ja w domu znaczyć będę, gdy mi ani nieboszczykowskiego wierzchowca, ani siodła, jak dziś — dotknąć nie będzie wolno?

— I uległeś? — zapytała królowa.

— Nie — odezwał się podkanclerzy — nie mogłem, ani myślę się tak akkomodować bo-byń zeszedł na służbę we własnym domu.

Głowy poruszeniem królowa dała mu znak, że postępowanie jego znajduje właściwym. Radziejowski poskarżył się, pokłonił i poszedł do króla.

Tyzenhauz tymczasem został przypuszczony do pięknej pani Elżbiety, która właśnie panien swych robotę około wspaniałego ornatu rozpa trywała.

Odprawiła dziewczęta smutna pani. Pokoje wiec królewski na twarzy jej łatwo mógł rozpoznać ślady jeszcze nieprzewyciężonego gniewu i rozdrażnienia.

Z żywością wielką rozpowiadać mu zaczęła jak jednego wierzchowca nieboszczyka męża rząd i siadzenie, których on rad używał, chciała pozostawić nietkniętymi, jak o to prosiła męża; ale bez względu na jej żądanie podkanclerzy, właśnie tego poranku, wierzchowca kawalkatorowi kazawszy przejechać i osiodłać według dawnego obyczaju, na miasto na nim wyruszył.

— Spotkałem go właśnie w bramie — rzekł Tyzenhauz — i nie raczył mi nawet na moje pozdrowienie odpowiedzieć. Szkoda tego ślicznego wierzchowca.

Nie dokończył; szybkim ruchem białej rączki podkanclerzyna otarła sobie oczy.

— Jeżeli się nie mylę — szepnęła — a nie myślę sobie... podkanclerzy tem śmielszy jest przeciwko mnie, iż królową ma za sobą. Nie miałam nigdy do niej szczęścia.

— Nie potrzeba tego brać do siebie — przerwał pokojowiec króla — żadna z pań polskich nie ma u Maryi Ludwiki łaski. Serce jej dla Francuzek ledwie starczy.

— Dla ślicznej wychowaniczki szczególnie — dodała uśmiechając się dwuznacznie pani Radziejowska, panny Maryi d'Arquien. — Nie jestem tak złośliwą, abym wierzyć miała temu, co rozpowiadają ludzie, ale przywiązanie królowej do tego dziewczęcia jest uderzającym. Czeka ją też pewnie los świetny... bo i piękność wiele obiecuje.

— Nie mogę temu zaprzeczyć — odezwał się Tyzenhauz — lecz dobrze już wie o tem, że jest piękną...

— Dziecko to jeszcze — szepnęła podkanclerzyna.

— O latach jej, naturalnie, nie się dowiedzieć nie można — począł Tyzenhauz — ale wnosząc ze wzrostu i postawy — musi już mieć około piętnastu...

Tu mała nastąpiła pauza; pokojowiec się obejrzał, czy ich kto nie słucha.

— N. Pan — odezwał się zniżonym głosem — wczoraj mnie bardzo pilno rozpytywał o panią podkanclerzynę. Musiałem mu się przyznać, że tu byłem. Ktoś pewnie — bo nie ja — rzekł z uśmiechem Tyzenhauz — ktoś musiał donieść, że pan podkanclerzy zbytecznie się tu chce rządzić. Król mruczał, bardzo tem oburzony, i dał się z tem słyszeć, że źle-by było nadto okazywać powolności... To jego rada — ja ją powtarzam.

— Rada bardzo dobra — przerwała podkanclerzyna — szkoda tylko, że mi jej posłuchać tak trudno. Nie mogę z nim prowadzić wojny, a widzieliście jak moich prośb słucha. Wczoraj prosiłam o tego konia i rząd, a dziś właśnie wybrał je sobie na przekorę.

— Gdyby kawalkator wprzód pani podkanclerzyny rozkazy otrzymał — musiałby się do nich zastosować, a p. Radziejowski nie śmiałby też pewnie się sprzeciwiać.

Spojrzała na niego podkanclerzyna.

— Nie znasz go — odezwała się — właśnie dla tego, aby okazał swą siłę i wolę, zrobi mi na przekorę; nie go to kosztować nie będzie.

— Pewny jestem — dodał Tyzenhauz — że Jan Kazimierz chętnieby wystąpił w obronie pani, ale...

Radziejowska przerwała żywo:

— Proszę, aby tego nie czynił! al! nie! nie. Już i tak mogą być niepotrzebne plotki o tej króla protekcyi dla mnie; podkanclerzy obróci to przeciwko mnie; mam i tak dosyć do przecierpienia.

Radziejowska okazała się tak niespokojną, iż młody gość musiał ją upewnić, że się wcale obawiać nie potrzebuje fałszywego kroku ze strony króla.

Zabawiwszy dosyć długo w pałacu Kazanowskich, Tyzenhauz opuścił go wreszcie i na zamek powrócił.

Dni kilka upłynęło. Król był tak niespokojny o panią Kazanowską, sam nie chcąc jej teraz odwiedzić, aby zbyt na swój współudział w jej nieszczęściu nie zwracać oczu ludzi, iż codziennie prawie nasyłał Tyzenhauza, aby mu się dowiadywał o coś i różne przynosił poselstwa.

Dwa razy zetknął się pokojowiec z samym podkanclerzym, który za każdym razem niechęć swą i podrażnienie coraz widoczniej mu starał się okazywać. Oprócz tego jawnem było, iż Radziejowskiemu jego sługi o wszystkim donosiły, szczególnie zaś o tem, co się żony tyczyło i jej stosunków.

Na złe humory podkanclerzego Tyzenhauz nie zważał wcale. Napróżno spotykając go, stawał Radziejowski, wlepił w niego oczy i usta ściągając; młody gość nie chciał tego rozumieć.

Dnia jednego naostatek, gdy wedle zwyczaju o godzinie rannej Tyzenhauz miał się kazać oznajmić pani podkanclerzynie, w antykameryze ujrzał stojącego i jakby oczekującego na siebie marszałka dworu Radziejowskiego, niejakięgo Snarskiego, który, w boki się ująwszy, zaparł mu do drzwi dalszych drogę.

Tyzenhauz spojrzał mu w oczy.

— Pan podkanclerzy — odezwał się Snarski szydersko i zuchwale — rozkazał mi miłości waszej oznajmić, iż nie życzy sobie, abyście w domu jego bywali.

Młody pokojowiec skoczył jak oparzony.

— Co? co? — zakrzyknął.

Snarski, powoli cedząc wyrazy, poraz wtóry toż samo wypowiedział i nie czekając dalszych rozpraw, wyszedł, drzwi za sobą zamykając.

Obelżywą tą odprawą, jak piorunem, rażony, Tyzenhauz stał długo, niewiedząc co ma począć.

Iść przebojem nie mógł; przyjąć takie zuchwałe wyznanie — nie godziło mu się; stracił na chwilę głowę i wyszedł z pałacu krokiem powolnym — sam nie wiedząc, co począć ma.

Do zwiększenia jego rozdrażnienia przyczyniło się i to musiał, że dworactwo i służba podkanclerzego, która musiała być zawiadomioną o tem, co zajęło miało, wejrzaniem i śmieszkami urągliwym jak przez różgi przechodzącego przeprowadzała Tyzenhauza, który, do bramy się dostawszy, wolnym umyślnie krokiem — był już wściekły.

W tej pierwszej chwili, pewna, że gdyby mu

się nawinął Radziejowski, byłby się, szabli do-
bywszy, rzucił na niego.

Skarżyć się królowi i wciągnąć go w tę sprawę, która musiała być dla niego nieprzyjemną — nie godziło mu się. Nie chciał nawet zaraz na zamek powrócić, dopóki-by się nie rozmyślił, nie poradził — ażeby się nie zdradzić i z gniewem i z obelgą jaką mu uczyniono.

Pobiegł do przyjaciół swych Litwinów, a trafił na rycerskich ludzi, którzy, na pierwsze słowo, okrutnie to wzięli do serca.

Wółowicz i Sapieha, którym się zwierzył, zakrzyknęli, że obraza taka we krwi tylko zmytą być może.

— Nie pozostaje ci nic — zawołał Sapieha młody — tylko tego zuchwalca, który sądzi, że senatorowi wszystko wolno, wyzwąć na rękę i z nim się rozprawić.

Tyzenhauzowi zapalczywemu nie mogło nic być przyjemniejszym nad tę radę. Gotów był nawet natychmiast wysłać przyjaciół do podkanclerzego, dopominając się zadośćuczynienia; ale tu zaszła rzecz dziwna.

Wszyscy ci, którzy znajdowali, że Tyzenhauz powinien być wyzwąć i Radziejowskiego, choć on tylko pokojowcem u króla, a ten był podkanclerzem, gdy przyszło iść do niego w imieniu Tyzenhauza, mieli najrozmaitsze przeszkody, które im usłużyć mu nie dozwalały.

Pochwalali nader gorąco jego zamiar, przykładali mu, ale, żaden — niestety — nie mógł mu przyjść w pomoc. Jeden nastrecał drugiego — nikt nie mógł wystąpić przeciwko Radziejowskiemu, bo za nim domysłano się — królowej. Tej narazić się nikt nie chciał, bo ona nie przebaczała.

Oile Jan Kazimierz, w pierwszym wybuchu gniewu gwałtowny, łatwo potem ostygł i obojętniał — o tyle Marya Ludwika pamięć najmniejszej obrazy zachowywała długo, nie traciła jej nigdy.

Tyzenhauzowi nie pozostało nic, tylko, samemu sobie zostawionemu, radzić jak umiał, a młodość i gorący temperament popchnęły go za daleko.

Czatował tylko na to, aby mógł podkanclerze go, przybywającego na zamek, pochwycić. Nie długo na to czekał; nazajutrz rano, niezmiernie czynny, Radziejowski wysiadał z kolebki i miał się udać do królowej, gdy Tyzenhauz, chwyciwszy dwa nabite pistolety już przygotowane, poskoczył przeciwko niemu.

Podkanclerzy, zobaczywszy go zabiegającego sobie drogę, rozgniewanego, z pistoletami w ręku zrazu postrzął się musiał ulegnąć i zwrócił się, czy za nim nie szedł kto ze służby. Wtem Tyzenhauz przypadł tuż blisko.

— Panie podkanclerzy, jestem tak dobry szlachcic jak i wy, nie mogę ścierpieć obrazy honoru. Przez sługę mi dom swój wypowiedzieliście.. musicie się bić ze mną!

Nim Radziejowski zebrał się na odpowiedź — nadbiegło dwóch jego dworzan, którzy, widząc młodego pokojowca z pistoletami godzącego na pana, chcieli się już rzucić na niego, gdy Tyzenhauz podniósłszy pistolet do góry, krzyknął:

— Odpowiedcie mi za to — i nie chcąc się wdawać ze służbą, odszedł śpiesznie.

Podkanclerzy potrzebował ochłonąć, nim się udał na pokoje królowej. Choć osobście nie był tchórzem, nie sławił się też nadzwyczajną odwagą, a zaskoczony przez zuchwałego młokosa nie spodzianie, na chwilę się strwożył. Mogła też po twarzy jego poznać królowa, po bladej i wężym błędnym, iż czemś świeżo został dotknięty i zapytała go troskliwie: czy się nie czuł niezadowolonym?

Radziejowski nie chciał tać, co go spotkało.

— Spotkała mnie tu na zamku, niestychana, zuchwała przed chwilą napasła — odezwał się — po której dotąd przyjść nie mogę do siebie.

— Napasła? na zamku? — krzyknęła, marszcząc się groźnie, Marya Ludwika — napasła?

Głos drżał z gniewu Radziejowskiego.

— Tem dziwniejsza, że ja popełnił pokojowiec króla jm. Tyzenhauz — mówił podkanclerzy. — Codzień prawie nachodził moją żonę i mam silne podejrzenie, że ją przeciwko mnie podburzał.

Z tego powodu byłem zmuszony kazać mu mój dom wypowiedzieć, a młokos za to dziś na zamku wybiegł naprzeciw mnie z pistoletami, dopominając się pojedynku!

Słuchała królowa zdumiona, uszom prawie nie wierząc. Pod jej boki takie zuchwałstwo popelnione na człowieku, któremu ona się okazywała życzliwą, oburzyło ją straszliwie.

— Otóż to owoce tego rozpasania i swobody, jakie król daje młodzieży, co mu służą! Wiedziałam, że się tam dzieją rzeczy nie do wiary, ale tego już nałdo, i ja nie dopuszczę, aby to płazem przejść miało.

Radziejowski, który nieznosnie się narzucał królowi, dnia tego nie poszedł do niego; wprost od królowej powrócił do pałacu a tu pierwszym rozkazem, jaki wydał, było, aby portret nieboszczyka Kazanowskiego, który wdowa zastrzegła sobie, aby nie był z miejsca poruszonym, nastrych wyniesiono.

W chwilę potem z płaczem i narzekaniem z gniewem i dumą razem wpadła podkanclerzyna do męża, dopominając się o niego.

Radziejowski, z zimną krwią napozór, odpowiadając, że obrażającym jest dla niego to jawne uwielbienie dla nieboszczyka, i że postanowił uczynić wszystko, co jest w jego mocy, aby pamiątki poniszczyć i być tu jedynym panem.

— Zawdzięczam pani — dodał — że dziś miał przygodę, która już po mieście obiegać musi. Wypowiedziałem wczoraj dom temu Tyzenhauzowi, a gołowas mnie śmiać dziś napasła z pistoletami i wyzywać na pojedynek, ale to mu płazem nie ujdzie.

Podkanclerzyna pobladła.

— Cóż ci przewinił Tyzenhauz? Wyrzucasz portrety, rozpędzasz moich przyjaciół i krewnych: czyż tym sposobem chcesz pozyskać serce moje?

— Ja się nawet o to już nie staram, bo widzę, że to było na próżno — zawołał Radziejowski — ale nie chcę, żeby ludzie śmieli się ze mnie.

Podkanclerzyna, której łzy strumieniem z oczów płynęły, odwróciła się milcząca od niego i wyszła.

Podkanclerzy nie był człowiekiem, któryby się dał zmieknąć lub zastraszyć. Wszystko, cokolwiek w życiu dokonał, winien był uporowi i narzucaniu się.

Pomimo, że żona mu się nie poddawała, nie tylko, że nie myślał jej folgować, ale tem zażartszą przedsięwziął z nią wojnę, pewien, że słaba niewiasta nie wytrwa w końcu i ulegnie mu. Szło o to, ażeby wszystko zagarnął i wszelkiej woli ją pozbawił.

Protekcja króla, który jawnie jej sprzyjał, nie mogła być skuteczną, bo przy znanej płochości jego, była kompromitująca, więc się jawnie nie mogła objawić. Na to rachował najwięcej. Cały plan zawładnięcia królową a przez nią słabym Kazimierzem i Rzeczpospolitą, dla ciągnięcia ztąd korzyści, już miał osnutą.

Na tem stanowisku urzędowym do jakiego doszedł, będąc stróżem pieczęci, wystawiał sobie osobę swą nietykalną, wpływ niemogącym się zachwiać. Z każdą więc godziną buta w nim rosła.

Dnia tego spodziewał się Radziejowski otrzymać z zamku jakąś wiadomość, bo pewnym był, że królowa Tyzenhauzowi zuchwałstwa popelnionego pod boki majestatu nie przebaczy, a król, choćby chciał, nie będzie go śmiać bronić; ale nie nadeszło nic. Posłany na zwiady komornik podkanclerzego przyniósł tylko, że król z królową mieli żywą rozmowę i że na dworze panowało jakieś między młodzieżą rozdrażnienie i niepokój.

VI.

Marya Ludwika, która przestrzegająca na dworze karności i porządku, o które król często wcale się nie troszczył, wystąpiła tak gwałtownie przeciwko Tyzenhauzowi, gdy król przyszedł do niej, tak się przeciwko młokosowi burzyła i odgrażała, że Jan Kazimierz, ani się za nim przemówić ośmielił, tembardziej, że po części sam

był powodem tego zajścia, posyłając młokosa do podkanclerzyny.

Wina zresztą pokojowca była jawną i wielką, bo na zamku pod boki króla, napasła senatora, w sądach marszałkowskich mógł być surowo karanem.. Nabite pistolety pogorszały sprawę.

Jan Kazimierz, faworyta ratując od sądu i kary rozgłosnej, natychmiast oświadczył, że go precz wypędzi i trzymać przy sobie nie będzie. Zgryziony tem, gniewny na Radziejowskiego, nie zabawiwszy u żony, król natychmiast poszedł do swych apartamentów i Tyzenhauza wołać kazał. Z kolei czterech za nim pacholików wyprawił. Stał, czekając na przyjście jego i szarpając koronkowe rękawki, gdy z miną nie zbyt przestraszoną, ani pokorną, ukazał się w progu winowajca, śmiało królowi patrząc w oczy.

— Cóż to zbroił? — zawołał król przystępując bliżej do niego. — Oszalałeś, czy co? Z pistoletami na zamku napadać dygnitarza? To gardłowa sprawa?

— N. Panie — począł spokojnie Tyzenhauz. — Podkanclerzy mi w sposób obelżywy, przez sługę, wypowiedział dom swój. Chodziłem do pani podkanclerzyny niezawsze z własnej woli, byłem posyłany..

Tupiąc nogą król nakazał mu milczenie.

— Nie masz się czem tłumaczyć — zawołał — popełniłeś kryminal! Tak! kryminal. Królowa jmoś: jest tak zagniewana, że gotowa sądzić na gardło. Choć mam litość, nie mogę cię ratować inaczej: natychmiast mi się wynos z zamku, niepokazuj się więcej na oczy i wypędzam cię! rozumiesz.

Tyzenhauz, nieulekniouy patrzył mówiącemu w oczy.

— N. Panie! — począł.

— Milcz! Nic nie pomoże! — przerwał król — Za godzinę żeby mi cię tu uie było.

To mówiąc, Jan Kazimierz obejrzał się niespokojnie dokoła. Szybko przystąpił do Tyzenhauza i szepnął:

— Postaraj się, aby kto za tobą do królowej instancyonował. Ja nie wiem.. Radziwiłł.. albo.. musisz przeprosić..

Ręce szeroko rozłożywszy, król pochylił głowę, dając poznać, że on nie więcej uczynić nie może..

Tyzenhauz pomimo to podziękował mu za łaskę, pocałował w rękę i wyniósł się daleko spokojniejszy, niż się wydawało, gdyż przed towarzyszami musiał rozpaczać.

Był pewnym, że król, który go lubił, potrzebował i nawykł do niego, znajdzie sposób poratowania z tej toni.

Wistocie Jan Kazimierz poufnie zaraz szepnął kanclerzowi Radziwiłłowi, aby tego biednego wartogłowa Tyzenhauza tłumaczył przed królową i prosił dla niego o przebaczenie. Kanclerz też przy pierwszej zrzeczności wystąpił z tem, ale Marya Ludwika nie dała nawet mówić o nim. Nie o Radziejowskiego jej szło, ale o ład na zamku i rozprzeżenie.

Po Radziwiłłowi wystąpił za Tyzenhauzem Wółowicz, równie bezskutecznie, potem powrócił ks. Albrecht zaręczając, że młodzieniec był skruszony, że postępkowi swego nierozważnego popelnionego w pierwszym impecie wielce żałował, a rodzina była losem jego boleśnie dotknięta.

A że kanclerz zarazem traktował przy tem za królową o starostwo dla protegowanego, za które 30.000 obiecywał — i Tyzenhauza ciągle do sprawy o tenuty mieszał — zdawało mu się, że Marya Ludwika w końcu nieco złagodniała..

Tyzenhauzowi zaś polecono, aby przyprowadzony na pokoje do królowej przez kanclerza, upadł jej do nóg, upokorzył się i o przebaczenie prosił. Stało się tak: Marya Ludwika uległa naleganom, tylko król wcale się do tego nie mieszał.. Udawał nawet w początku, że dawnego pokojowca znać ani widzieć nie chce, drożył się także z przypuszczeniem go do łaski swej — ale w końcu, po upływie dni kilkunastu.. Tyzenhauz znowu począł dawne pełnić obowiązki.

Rozumie się, iż nie miał pilniejszego nad to, aby się za pierwszą bytnością na zamku podkanclerzego oczom jego nastreżyc.

Radziejowski uczuł to mocno, ale — jak nieraz w życiu, gdy go co nieprzyjemnego spotykało, umiał oślepnąć, ogłuchnąć i udać, że o niczem nie wie...

Królowej ani wspomniał o tem, ani pytał. Wygrywał zawsze, iż się królewskiego posła z domu pozbył, który mu żonę buntował, był bowiem pewnym, że Jan Kazimierz ją ośmielał do oporu...

Tym zasem nawet złagodniał dla jejmości, unikając tego co ją drażnić mogło i wyjednał zawieszenie broni...

Małżonkowie z niechęcią i nieufnością spoglądali na siebie wzajemnie, w domu dwór się podzielił na dwa obozy, ale do wybuchów i sporów jawnych nie przychodziło.

Ważniejsze daleko sprawy zaprzętały umysły. Kozactwo, złamawszy traktat, podniosło bunt znowu, król razem z królową pracowali nad tem, a żeby przeciwko niemu tak potężną wystawić siłę, któraby niewątpliwie czyniła zwycięstwo.

Król pobudzony, sam też coraz się zagrzewając do rycerskiego ducha — był pełen zapału i gorliwości.

Zmiana nowa doszła w nim na dobre: z obojętności i ostrygnienia po zborowskich traktatach, wracał do ufności w siebie, w Rzeczpospolitą i pomoc Bożą. Po wielu innych „downych obrazach, u których szukał opieki, — szczególne teraz nabożeństwo i ufność obudzała N. Panna Chełmska, którą miano do obozu sprowadzić.

Gotowało się wszystko przepięknie na wojnę. Królowa nigdy czynniejszą, więcej ożywioną i zajęta nią nie była niż teraz. — Wiedziała, że Jan Kazimierz potrzebował być pobudzonym i posilkowanym; sama więc i wszyscy których miała na rozkazy — króla zachęcali do wojny, która nieochybny tryumf sprowadzić miała...

Siły zbierały się wielkie pod wodzą króla mające się zgromadzić oprócz wojsk komputowych. Senatorowie, magnaci, biskupi, można szlachta ofiarowała po kilkaset ludzi.

Obietnice rejestrowały się już tak wielkie jak nigdy, całe pułki, oddziały, po sto, po dwieście kopijników, dragonii; ussaryi, piechoty, które senatorowie wystawić mieli. Jedni się wysadzali nad drugich już liczbą, już uzbrojeniem i doбором ludzi.

Króla też to rozgrzewało, iż stanie na czele takiego wojska, jakiego od niepamiętnych czasów Rzeczpospolita nie miała... Wszyscy go o tem zapewniali. Odżył pod tem w razie nieco spoważniał, uczuł się człowiekiem nowym i godność swą nosił surowiej się oglądając na wszystko...

Radziejowskiemu, który równie króla niecierpiał, jak był przez niego znienawidzonym, — a między nim i Maryą Ludwiką usiłował się nie zgodać, aby z niej potem korzystać — nie było to na rękę, ale tymczasowo chcąc Jana Kazimierza sobie zjednać i on kilkaset dobornej rajterii obiecywał wyprowadzić w pole...

Królowi przy tem jego surowszem „sposobie” narażać się teraz nie było bezpiecznie. Najlepszym dowodem tego byli ulubieni mu Radziwiłłowie i Lubomirscy, którzy nagle niemal wpadli w niełaskę. Jan Kazimierz — chciał okazać, że nikomu samowoli nie przebaczy.

Brat kanclerzyny Radziwiłłowej marszałek koronny Jerzy Lubomirski trzymał zupełną, o którą z Rzeczpospolitą miał sprawę. Naznaczona została kommissya, w której zasiadał instygator koronny Żydkiwicz...

Ten, gdy w ciągu sprawy ostro się przeciwko marszałkowi wyrażać zaczął, zniecierpliwiony Lubomirski obuszkiem go w głowę uderzył...

Skarga doszła do króla, jako obraza majestatu sądu, przez niego oznaczonego. Jan Kazimierz, pomimo życzliwości dla Lubomirskich tak mocno uczuł tę zniewagę, iż ją porównał do porwania się Piekarskiego na ojca swego Zygmunta. Gniew króla był tak wielki, że zakazał Marszałkowi na oczy się sobie pokazywać na zamku w Warszawie, a później w obozie. Zagrożono nawet, iż król złożenia łaski żądać będzie...

Wielką też surowość nie czemu innemu przypisać było można, tylko temu usposobieniu króla, pragnącemu majestatu powagę utrzymać, podnieść

się — i stać godnym bohaterstwa, którego się dobić obiecywał sobie.

Lubomirscy i Radziwiłłowie rzucili się naturalnie do królowej o pośrednictwo, a Marya Ludwika rada była zawsze okazać moc swoją, nie odepchnęła więc ich. Do charakterystyki wieku należy, że instygator Żydkiwicz dał się później pieniężnym datkiem zgodzić!

Epizod ten wśród rosnącego wojennego gwaru przeszedł prawie niepostrzeżony. Chmielnicki już z kozactwem płądował na Wołyniu, Kalinowski hetman naglił o posiłki; wysyłano wieści i mandaty po województwach, aby się przygotowane pułki conajprędzej ściągały.

Strzębosz też wedle umowy chciał do wuja pod Lublin pośpieszyć, poprosił u króla o pozwolenie, ale Jan Kazimierz właśnie dopełniając chorągiew swoją ze czterechset dworzan złożoną, wypuścić go nie chciał. Musiał więc tymczasem pozostać, nimby się później do Xieżkiego mógł przesadzić. Spodziewał się tego dokonać w zamian za siebie podstawiając innego, gdyż do królewskiej chorągwi chętnie się cisnęła młodzież.

Ruch w stolicy, na zamku, po całym kraju był ogromny. Przy ówczesnym sposobie ekwipowania się i wojowania nie mała była rzeczą z niczego stworzyć chorągiew i wyciągnąć z nią w pole. Śmiało powiedzieć można, iż za stu dragonami, tyleż conajmniej wozów, czeladzi i ciurów się wlokło. Kopijnicy swych ciężkich i kosztownych kopii nie wieźli inaczej, jak na wozach, a zamożniejszy szlachcic i starszyzna wojskowa jednym się nie obchoziła. Tabory więc niemal czasem bywały liczniejsze, niż wojsko same — a owe czeladzie, jak pod Zborowem, obrusy i prześcieradła na żerdziach poczepiawszy zamiast chorągwi, występowały przeciwko nieprzyjacielowi i biły się mężnie.

Największa swoboda w znaczniejszej części tych pułków panowała w uzbrojeniu i stroju — z wyjątkiem tylko tego oręża, który, jak u kopijników stanowił właściwość jego. Sadzono się i tu na okazanie przepychu i dostatku. Stalowe pancerze pozłacano, oręż musiał być conajprędniejszy, głównie damasceńska, a koni taki dostatek, aby ich w żadnym razie ani pod wozy, ani do wierzchu nie zabrakło.

Dostatniejszy, pan rotmistrz lub chorąży, nie wyruszył z domu bez trzech wozów dobrze naładowanych, bez kilku luźnych koni, pacholków do nich i posługi. Jeden wóz musiał być żywnością dla ludzi i koni napełniony, drugi orężem zapasnym, siodłami terlicami, kulbakami, i rzędami a dekami dla koni, trzeci szatami pańskimi, barwą świąteczną czeladzi, a i o namiocie nie trzeba zapominać, bo rzadko kto go nie wiozł z sobą. Wielu też i sreberka i cyny trochę zabierało.

Posledniejszym od drugich nikt się nie chciał okazać, więc ktoby się bez wielu tych rzeczy mógł obejść łatwo, ciągnął je z sobą, aby się pochwalić niemi.

Strzęboszowi, gdy się przyszło do ciągnięcia sposobie jako drudzy, spostrzegł dopiero, że cokolwiek sobie zbierał i miał, wszystko na to wydać przyjdzie, a na żołądek czekać potem długo. Nie spieszył już więc z pomiędzy dworzan, znajomych i towarzyszy do obcych.

Rzadko też kiedy na wojnę się z taką okazałością gotowano, jak na tę, chociaż pociechu przypominał drudzy Piławiecką i ogromne dostatki zmaruowane, które się w ręce Kozakom i Tatarom dostały. Nie pomogło to smutne doświadczenie — znaczniejsi panowie ciągnęli tłumno a dwornie.

Tak wszyscy pewniemi się zdawali zwycięstwa, iż królowa sama nawet chciała towarzyszyć mężowi, a Radziejowski, nie bez pewnej rachuby, podstępnał sam żonę, iż ona także jechać z nim mogła, na co się pani podkanclerzyna w początku z ochotą godziła.

W postępowaniu jego, na oko niezrozumiałem, było mnóstwo zasnutych sieci, pozadzierzganých węzłów, przygotowanych środków na przypadek wszelki do odegrania roli — któreby mu wpływ i zysk zapewniła.

Z jednej strony usiłował sobie zyskać królową,

zwolna i ostrożnie w oczach jej męża poniżając, a ją podnosząc; z drugiej gotów był przez żonę króla sobie zjednać, posadzając go o wielką słabość dla niej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Kwietniu 1886 r.

Olimp w Wiedniu. — Wystawa prac kobiecych.

Naprzekór wszystkiemu przychodzę z wesołym graniem. Żyjemy w czasach panowania pesymizmu. Schopenhauera i Hartmanna, rozruchów anarchistycznych, razzii antypolskich w Niemczech i ordynarnego tonu w parlamentach, przeszczepionego już i do Wiednia przez Niemców. Żyjemy w roku ogólnego zastoju i bezrobocia, pożarów i zimy tak bezbożnej, (jak mówi Krasinski), że oto teraz z końcem Kwietnia palce marzną. Ludzie niewyraźni boją się końca świata, nęda i choroby, apatya i melancholia ogarnia społeczeństwo. Więc w takich czasach robi to prawdziwą przyjemność, gdy się widzi grono ludzi, którzy sobie powiadają, że musi być lepiej, że należy się nie dać, że trzeba się odgryźć, ratować, a pomagać tym, którzy z professyi leczą i ratują. Inaczej bowiem to nawet w Wiedniu, w tym odmłodzonym i wesołym Wiedniu, w tem królestwie Straussa, gdzie, bywało życie szumi, jak świeżo otwarta butelka szampańskiego wina, nawet tutaj nie będzie można wytrzymać. Więc zebrał się tajny komitet i uknuł wielki spisek, spisek pałacowy. Przewodnictwo objął geniusz życia i ruchu, którym jest księżna Paulina Metternich; po prawej i po lewej zasiadli: dyplomatyczna zręczność i zjawstwo sztuki, reprezentowane zarówno przez księcia Metternicha i brn. Bourgoing, wiedeńskiego Paryżanina, który w znanym wam balecie „Wiener Walzer“ tak wdzięcznie uchwycił obyczajową historią wiedeńskiego ludu. Spisek więc uknuł wielki, niebywały, zaciągnięto cały *high life*, ale to nie dosyć. Skwaszonym ludziom trzeba było zaimponować, trzeba ich było użyć z góry, więc wciągnięto do całej kabały bogów greckich. Nie kto inny tylko Jupiter z Olimpu wydał hasło: precz z pesymizmem. Nie bez przyczyny też musiała się zacząć naprawa humoru od Olimpu, bo i tam już źle się działo. Eskulap (hr. Podstatzky), upadał ze znużenia, całym Olimp szpitalem, Jupiter jęczał w podagrze obłożony poduszkami, Juno (księżna Metternich) zaniedbała się tak, że nawet jej garderobę mole jadły, Ganimed chory, ledwo go zastępowała córka Gamimaedchen (hr. Apponyi), Venus (Olga Okiliczanyi), zaczęła siwien i t. d., a powód tego oplakanego stanu był w tem, że zabrakło Hebe i nektaru. Hebe (ślizna hr. Wilczek z Kińskich), wygnął Jupiter w napadzie passyi za to, że zagapiwszy się na Herkulesa wylała półtora litra nektaru. Zniknęła, z nią Herkules, a z nią młodość i swoboda. Nie ma przeto innej rady, tylko trzeba ją odszukać i napowrót do Olimpu sprowadzić. Merkury, wysłany na zwiady, przyniósł wiadomość, że wykrył zbiegów... w Wiedniu. W to mu graj, Jowiszowi; w tejże chwili wybiera się za niemi do Wiednia. Na samą myśl wesołych dni w Wiedniu podagra znikła; „precz z pesymizmem“ woła on i odjeżdża.

Sam? to być nie może, Juno miałyby się dalej nudzić? nigdy. Więc znowu spisek, hurra... cały Olimp pakuje swoje sakwojaże i rozbiega się, każdy swoim dworem, do Wiednia. Nazywało się to: „Zmierch bogów w Wiedniu“, a było nader zabawnym widowiskiem, w którego ramy ujęte zostały charakterystyczne strony życia wiedeńskiego. Widowisko to przedstawione cztery razy w pałacu Schwarzenbergów; zaszczycił je i cesarz swoją obecnością. Rozgry-

wają się sceny na ulicy, Ring-strasse, i w salonie artystycznym. Główną osobą jest Jupiter, który przybrał postać podżyłego lowelasa; towarzyszy mu, jako cicerone, wiedeński Paryżanin Bolichard, a jakie to są sceny, objaśni najlepiej sama metamorfoza bogów i bogiń. Juno występuje jako emancytowana moda przyszłości, śpiewa z Bolichardem dzieła francusko-niemieckie, a potem jako kobieta z ludu. Diana (br. Bourgoing), jest woltyżerką w cyrku, Minerwa (księżna Montenuovo), jako bona do dzieci; chce ona chłopcu czytać Philosophie des Unbewussten, ale małe jej ucieka. Ceres (p. Lindheim), jest praczką, Hebesodziarką, potem kelnerką w Wurstelprater, Venus modniarką, Flora kwiaciarką, Proserpina sprzedaje gazety, Eskulap przychodzi jako welniany dr. Jaeger, a z nim Anna Csilog (hr. Zofia Trauttmannsdorf), z anonsów o elixirach z włosami do ziemi; potem zamienia się Eskulap w żelaznego rycerza ze szczytu wieży ratuszowej; Mars (hr. Kiński), jest officerem od kawalerii; Merkury posłańcem publicznym (mykstatnikiem, podług Radwańskiego); Austria (ks. Khevenhüller), Hungaria (br. Herring), portier (hr. Montenuovo), sportsman (hr. Apponyi), żebrak (br. Godenus), policjant (hr. Kiński), fiakier, chłopiec od szewca; Terpsichora (hr. Mensdorf). Talia, Euterpe, Bachus, Herkules, w rozmaitych przemianach uzupełniają towarzystwo. Muzy mają w Wiedniu otwarty salon artystyczny. Tutaj odgrywa się jedna scena z baletu Wiener Walzer, taniec z poduszką i narzeczona (hr. A. Podstatzky), narzczony (hr. Mensdorf), starościna (hr. Hunyady), starosta (ks. A. Schwarzenberg), pary tańczące: hrabianki L. Wilczek, F. Schoenborn, J. Hunyady, Blot. Mensdorf; mężczyźni: E. Kinsky, W. Milbanke, H. Baltari, M. Batibor. Wdzięk tej sceny opisać się nie da. Tutaj odbywa się duet z Trompeter v. Saecingen: hr. Czernin i J. Schuster (merkur listonosz); tutaj pojawia się oryginalny żupan z Cygańskiego Barona i córka jego (p. Neumann Spallert); tutaj rozgrywa się trawestowana scena pojedynku z „Właściciela Kuźnic“, w której hr. M. Mensdorf jest nieporównany; aż nakoniec, *rukuja* trzy szwadrony żandarmów burgowych, gwardyi przybocznej i gwardyi węgierskiej. Chłop w chłopa do miary, mundury nowiutkie, wykonują ćwiczenia, kadryl z baletu „Excelsior“, miny marsowate, wojsko w całym słowa znaczeniu *gedrillt*, za ledwo że się po spódniczkach z czerwonego i białego sukna spostrzeżę, że to dwanaście dziewcząt z lancami i pałaszami, w hełmach z grzywami i w lamparcach dołmanach. Dwanaście dziewcząt! Amelia Podstatzky, L. Wilczek, Met. Hardtmuth (ołówki), Irma Schoenborn, Józ. Trauttmannsdorf, H. Vetsera, M. Schwarzenberg, p. Zichy, M. Mitrowsky, Fel d'Orsay, M. Harrach, A. Schoenborn...

Przewyborną postacią jest wprowadzona podróżniczka niemiecka Buchholz (księżna Hatzfeld), ubrana poberlińsku, z obrazą wszelkiego szyku, mówiąca poberlińsku, w okularach, z Bae-deckerem w ręku, która się dopytuje o same nieistniejące w Wiedniu rzeczy, fiaków wyżej taxi płacić nie chce—i mści się tym sposobem, że chodzi piechotą.

Wśród tych wszystkich scen Jupiter-lowelas przekonywa się, że wszędzie spotyka olimpijskie towarzystwo, tylko Hebe wciąż się ukrywa. Aż ją wynajduje Juno—w Wurstelpraterze. Herkules mocował się z siłaczami, a Hebe szynkowała piwo. Więc powrót z nią do Olimpu, który zatem zostaje odmłodzony, Juno zastąpiona przez swoją córkę, bogowie i boginie pojawiają się w przemienionej postaci, w kostiumach, któreby zachwyciły Fidasza i Apellesa, w oświetleniu elektrycznym, kolorowem, a przyspiewuje do tego ostatniego obrazu akademicki chór...

Publiczność ani wie, jak jej *trzy godziny* upłynęły, brawo i brawo, wesołość i śmiech, a panu Koźmianowi z Krakowa aż popuchły ręce od klaszkania; ten przecież także się cokolwiek zna na tem... A jednak było zgorzelenie, bez żartu zgorzelenie! Nawet w izbie panów p. D. głośno zawyrokował: że to zepsucie smaku, poniżenie sztuki! Oczywiście, melancholii i hipochondrii i zazdrostek i miłostek trudno wyplenić; ale to jest

pewne, że w całym widowisku nie było, ani jednej sceny ślizkiej, ani jednego kostiumu operetkowego, chociaż w tej mierze tysiące obiega plotek. Ale ba, przecież złe czasy, więc należy je robić jeszcze gorsze: nie wolno dać zarobku stolarzom i tapicerom, którzy urządzali scenę; nie wolno dać zarobku krawcom, kupcom, fryzjerom, mechanikom, i pyrotechnikom i t. d. A na potrzeby tego widowiska ci bo „sociétaires“ dali przemysłowi w mieście roboty, co najmniej za jakie dwieście tysięcy, bo to wszystko nowe, prawdziwe, nie udane, umyślnie robione, cokolwiek się pojawiło na scenie. A na cele polikliniki i białego krzyża zebrało się 38 tysięcy złr. Żeby to zaś wszystko urządzić, potrzeba było kilku tygodni pracy. Publiczność umiała ocenić tę *zabawę*, która nie miała pretensji do niczego więcej prócz do tego, że była zabawą pełną dowcipu. O tym teatrze w pałacu Schwarzenberg będzie opowiadać tradycja; wprowadził on hasło: Sein wir lustig,—bądźmy weseli, zachowajmy swobodę umysłu i starajmy się zawsze wydobyć z siebie samych środki na wszelkie biedy.

Zabawa ta miała, jak z treści widać, oprócz celu dobroczynnego także głębsze znaczenie.

Z grona kobiet wyszła też tutaj akcja ratunkowa dla pogorzańców polskich, lecz sprawozdanie o niej będzie za kilka tygodni dopiero na czasie. Dzisiaj należy się wzmianka wystawie *robót kobiecych* w muzeum austriackim. Od lat dwudziestu nastąpił niesłychany zwrot i rozwój w zakresie robót kobiecych. Robota mechaniczna, szablonowa stała się pracą uduchowioną, owianą artystem. Zaczęto studiować wszelkie techniczne sposoby, przemysł domowy na wschodzie i zachodzie, zaczęto badać historię sztuki, gustu, harmonię barw, style, pojawiły się kobiety nauczycielki nowej nauki i sztuki, które za zadanie budziły myśl piękną, podnosiły poezją domowego ogniska, zapelniając je utworami dobrego smaku i zręczności poprawnej pod względem kolorytu i rysunku. Powstały wreszcie szkoły fachowe, które szerzą zamiłowanie do tych prac i otwierają setkom kobiet źródła przyjemności i zarobku nader właściwego. Wi dzieliśmy więc na wystawie okazy pracy: centralnej koronkarskiej, szkoły haftu artystycznego pani Bach, której już w *Bluszczu* obszernie poświęciłem był sprawozdanie, szkół stowarzyszenia zarobkowego kobiet, stowarzyszenia ku wspieraniu dziewcząt; widzieliśmy wyroby wschodnie i węgierskie. Węgierki wzięły się poważnie do podniesienia przemysłu domowego ludu; widzieliśmy wszelkie rodzaje i gusta, a między innymi i hafty perłowe Rusinek, z Galicyi, wiele prac t. z. prywatnych, pań, które dla domu lub kościoła pracują; z Zagrzebia śliczne ornaty i choraągwie, mnóstwo okazów ze Szlązka i z Morawii, wszelkie możliwe pomysły, techniki, praktyczne i fantazyjne, białe i kolorowe, i złote, hafty i malowidła igielkowe i farbami na atlasie, których opisywać ani się kuszę. Pani Habilka przedstawiła w okazach historią robót kobiecych. Okazuje się z niej, że od r. 1860 do 1865 hołdowano tapiseryom i robotom pluszowym strzyżonym. i od 1865—70 lubiono haftować i gobeliny *a petit point*, pojawiły się też trudne, a niewdzięczne frivolités. Od 1870—1875 panują kwiaty ze skóry, imitacje wschodnie, mozaiki leśne, nakrapiania; potem przez dwa lata aplikacje kretonowe, a od r. 1875 po wielkiej wystawie działa już wpływ szkół: point-lace, filet-guipure, technika holbeinowska, sztych krzyżowy, staroniemieckie hafty na płótnie. Więc i w tym zakresie obok gustu rządzi moda, a prace *antiques* zawsze są modne. Roboty sprzed lat dwudziestu są wobec dzisiejszych naiwne, nieudolne, ciężkie, surowe. Kto chce z temi rzeczami zapoznać się dokładnie—oile w Austrii się rozwinęły, może się posłużyć przewodnikiem wydanym dla tej wystawy, a ułożonym przez J. Falke, Emilią Bach i Teresę Mirami. Postęp w tych pracach jest tak ogromny, jak w wyrobach ze szkła. W Krakowie dwie szkoły z wielkim skutkiem w tym kierunku pracują, tak, że nawet otwarto już osobny sklep wyłącznie dla sprzedaży okazów pracy kobiecej.

O wiosennej wystawie sztuk pięknych zachowuję sobie sprawozdanie na później, jak już i Kunstverein z nową seryą wystąpi, gdyż tylko z wszechstronniejszego rozpatrzenia można wyciągnąć pewne wnioski o kierunku sztuki, a idzie nam o takie wnioski i poglądy, nie o krytykę pojedynczych obrazów. Przybędzie też między narodowa wystawa szkiców i publiczny, przez panny wiedeńskie urządzony, ich przetarg na rzecz pogorzańców polskich. Będzie to taki *evenement* majowy, jak Olimp był kwietniowym.

Kronika działalności kobiecej.

— Oprócz wiadomej już czytelnikom wystawy odzieży i sprzętów domowych, Muzeum Przemysłu i Rolnictwa urządzi na miesiąc Październik wystawę nasion wszelkiego zboża, warzyw, roślin pastewnych, lekarskich, oleodajnych, miododajnych, leśnych, farbiarskich i tam dalej. Że jest tu dział odnoszący się wręcz do gospodarstwa kobiecego, wie to każda z ziemianek, tak ta, która nasiona ziół i roślin ogrodowych, warzyw, roślin włóknodajnych i tym podobnych nabywa, jak ta, która je na zbyt produkuje. Osoby, życzące sobie wziąć udział w wystawie, potrzebują nadesłać przed dniem 15 Września do kancelarii Muzeum deklarację o rodzaju okazów i żądanej dla nich obszerności miejsca. Zboża, nasiona oleiste i warzywne powinny być dostarczone w ilości trzech garncy; nasiona pastewne w ilości jednego garnca. Pożądaną rzeczą jest aby wystawcy dołączyli do tego snopki zboża, lub rośliny z gruntu wyrwane, jako też opisy, obejmujące obok nazwiska wystawcy i miejscowości: powiatu, gminy, wsi, oraz wiadomość, jaką jest rozległość pola, na którym okaz jest uprawiany, rodzaj i ilość użytego nawozu, i inne szczegóły odnoszące się do uprawy. Co się tyczy nasienia buraków cukrowych, te powinny być nadsyłane w większych ilościach, z możliwie szczegółowemi objaśnieniami, co do ich produkcji, a mianowicie: jaki jest gatunek nadesłanego okazu, gdzie nabywano nasienie, z którego został wyprodukowany, ile korcy nasienia ma producent na zbycie i po jakiej cenie? Przytem powinno się dołączyć kilka buraków, wyprodukowanych z tego nasienia w roku ubiegłym, wraz z kilkoma polaryzacjami tych buraków, poświadczonemi przez chemika i dyrektora cukrowni, do której zwykle buraki te się dostarcza.

Do każdego okazu nasion, które są na sprzedaż powinna być dołączona wiadomość, ile ich korcy i po jakiej cenie, wystawca dostawić może w Warszawie na sprzedaż. Przesyłki okazów powinny być dostawione do kancelarii Muzeum najpóźniej 1-go Października, a po zamknięciu wystawy usunięte ztamtąd w ciągu dni 10. Inaczej Muzeum uważać będzie, że okazy zostały mu darowane. Za najcenniejsze okazy udzielane będą nagrody: w podziękowaniu od Komitetu Muzeum, w medalach złotych, srebrnych, brązowych i listach pochwalnych.

— Wystawa ogrodnicza właściwej pory czasu, urządzona staraniem *Warszawskiego Towarzystwa Ogrodniczego*, odbędzie się dnia 30 Lipca w Łazienkach. Program jej obejmuje:

Dział I. 1) Rośliny gruntowe kwitnące. 2) Rośliny jednoroczne i dwuletnie wsadzone w grunt w doniczkach, lub bez takowych. W tych dwóch oddziałach konkursu są następujące: Największy dobór roślin jednorocznych wsadzonych w grunt, ciętych lub w doniczkach; dobór roślin obwódkowych, pnących, traw ozdobnych, astrów, Celona, Cheiranthus, Diantus chinensis, Impatiens Balsamina, Betonia, Phlox Drummondii, Reseda odorata, Verbena, Violatricolor maxima, Zinnia oraz dobór roślin dwuletnich kwitnących. 3) Rośliny trwale wysadzone w doniczkach lub cięte. Konkursa w tym oddziale są: największy

dobór roślin kwitnących zimotrwałych: *Althaea*, *Rosa*, *Diantus caryophyllus* i *plumarius*, *Phlox perennis*, *Pyrethrum roseum*, *Clematis*. Rośliny cybulkowe i kłączkowe: *Anemone* i *Ranunculos*. *Begonie* bulwiaste, *Georginie*, *Gladialos*, *Lilium*. Największy dobór roślin cybulkowych i kłączkowych.

Dział II. Rośliny szklarne kwitnące, *Begonia*, *Fuchsia*, *Pelargonium*, *Gesneriaceae*, *Orchideae*—dobór roślin szklarnych kwitnących. Dział III. Rośliny ozdobne liściaste; dobór roślin ozdobnych zielnych jednorocznych i trwałych, tak gruntowych jak doniczkowych, używanych do ozdoby klambów kobiercowych i trawników, to jest wsadzonych w grunt; kwietniki kobiercowe.

Dział IV Róże: dobór 50 odmian róż powtarzających, takież dobór z 25 róż złożony; dobór 50 odmian róż herbatnich, takież dobór z 25 róż złożony; dobór 50 odmian innych róż, z wyłączeniem poprzednich; dobór 50 odmian ze wszystkich grup; dobór 5 odmian najpiękniejszych róż powtarzających; dobór 5 odmian najpiękniejszych róż herbatnich; nowe odmiany róż z trzech ostatnich lat; najpiękniejszy dobór róż i dobór róż w doniczkach. Dział V Bukiety i ozdoby z kwiatów: bukiety i wiązanki, kosze, wazy i żardynierki, poduszki, kobierce i inne ozdoby. Dział VI Rośliny doprowadzone sztucznie do kwitnienia na czas wystawy.

Dział VII owocowy mieścić będzie następujące konkursy: Najbogatszy dobór wszelkich owoców pory właściwej. Największy dobór owoców pory właściwej, złożony z najlepszych odmian. Najlepszy dobór czereśni i wiśni, najmniej dziesięć odmian. Największy dobór gruszek i jabłek letnich. Najlepszy dobór gruszek i jabłek letnich. Największy dobór wszelkich owoców jagodowych, jak agrestu, porzeczek, malin, truskawek i t. d. Najlepszy dobór porzeczek. Najlepszy dobór malin. Dobór najlepszych owoców letnich bez nazwy. Okazy owoców sztucznie spóźnionych, lub przyspieszonych. Wino z owoców, jak z porzeczek, agrestu, malin, dereniaku lub innych. Większe owoce, jak jabłka, gruszki, śliwki, powinny być wystawiane w ilości najmniej po 5 sztuk, drobniejszych owoców cały talerzyk. Wszelkie owoce powinny być zaopatrzone we właściwe nazwy. W interesie nauki jest rzeczą pożądaną, aby w deklaracjach podawano wiadomości: na jakim gruncie, na jakiej wystawie, oraz na jakiej formie drzew dany owoc wyhodowanym został. Wystawa trwać będzie dni pięć, to jest od 30 lipca do 3 sierpnia.

Ogrodownictwo, czy jako przemysł, czy jako wdzięczne umilenie życia w rodzinie, przypada najzupełniej na dział zajęcia kobiety i może czytelnicy nasi przypominać sobie, jak królowa angielska ze względów, że może ono dostarczać dobrej rozrywki kobiecie niezamężnej, usiłuje rozpowszechnić jego zamiłowanie, w czem duchowieństwo wszelkich wyznań dopomaga jej usilnie. Kardynał Manning ustanowił na zeszłorocznej wystawie kwiatowej w Londynie trzy nagrody: po 5, 10, 15 gwinei w działach róż. Stowarzyszenie londyńskie hodowli kwiatów doniczkowych usiłuje też pociągać do lubownictwa hodowli kwiatów dzieci nie-dorośli i zwykle ustanawia się dla nich na dorocznych wystawach konkursu oddzielne. Niemylne jest zdanie moralistów angielskich, że gdzie w ubogim mieszkaniu robotnika kwitnie na oknie kwiat, krzewi się tam rzecz drogocenna: zamiłowanie domowego ogniska i poczucie piękna, z którym się zwykle łączy zamiłowanie porządku i ochędźnej czystości—wyjście ze stanu grubej dzikości.

— P. Adolf Bogucki, zasłużony dobru ogólnemu przez usilne, choć dotąd prawie bezowocne, dźwiganie naszego jedwabnictwa, napisał do *Pszczół* (N. 2) czasopisma wydawanego przez Muzeum Pszczolnicze p. Kaźmierza Lewickiego, list otwarty: „W sprawie jedwabnictwa.“ Hodowla jedwabników morwowych jest u nas najzupełniej możliwą, że zaś obecnie posiadamy już w kraju 1,000,000 drzewek morwy, zdalnych do użytku, zatem moglibyśmy już mieć produkcją jedwabiu tak znaczną, że zaważyłaby coś na europejskich rynkach jedwabniczych, Lyonu lub Medyolanu. Gdybyśmy z każdego drzewka morwy, które w kraju naszym rośnie, otrzymali rocznie tylko jeden funt jedwabiu, już 1,000,000 funtów jedwabiu, spieniężonego we wspomnianych miejscowościach, przyniosłoby krajowi od sięgającym do piętnastu milionów rs. zysku, bo według organu jedwabnictwa francuzkiego, w Lyonie wychodzącego: „*Moniteur des Soies*“ płaci się tam funt jedwabiu od 10 do 15 rs. Przy dzisiejszych stosunkach fabrycznych i handlowych produkcja mała utrzymać się nie może, i trzeba liczyć już poważnych, aby znalazła sobie miejsce obrotu korzystne. Według wyżej przytoczonego czasopisma, przychodzi do Lyonu z różnych stron świata tygodniowo po 125,000 do 250,000 funtów jedwabiu, więc na jakąś ilość mało znaczną wcale tam uważać nie chcą—nie chcą zadawać sobie trudu traktowania o nią, ale gdyby to był milion funtów, jakto już dziś od razu wyprodukować możemy—zmieniła by się postać rzeczy.

P. Bogucki wielce to umożliwił, zakładając w Siedlcach za rogatką Belwederską pierwszą w kraju naszym rozwijalnią jedwabiu; dobudował do zadzierżawionego na ten cel budynku dwa pawilony, przeznaczone na fabrykę jedwabiu, a znalazłszy na miejscu dość morw, postanawia hodować tam jedwabniki, łącząc z tem bezpłatną naukę hodowania jedwabników; obok nauki hodowania morw, do czego służyć mu będzie zaprowadzony przezeń sad i szkółki morwowe. Przytem nadsyłane mu oprędy nabywać będzie i w rozwijalni swojej na włókna jedwabiu zamieniać. Wyuczeni przez niego bezpłatnie uczniowie, lub uczennice, mogą albo brać w dzierżawę istniejące w kraju sady morwowe, albo być kierownikami hodowli jedwabniczej u właścicieli tychże sadów. Ze p. Bogucki oprędy, choćby w największej ilości nabywać będzie, jest już zatem zbyt dla tej produkcji otwarty, więc otwarte źródło dochodu, który zapewnić sobie można bardzo łatwo, przy lekkiej, kobiecych, a nawet dziecinnych sił nie przechodzącej pracy, która wymaga rocznie nie więcej nad sześć tygodni zajęcia, jednej zwykłej izby i nie kosztownych przyborów. Nasienia morwy i drzewka ze szkółek, jajeczka jedwabnika morwowego nabywać można u p. Boguckiego, który obok nauki bezpłatnej przyrzeka udzielać wszelkich objaśnień i wskazówek, czy ustnie czy piśmiennie. Adres jego jest: Adolf Bogucki, Warszawa, Nowy Świat N. 58, lub: Sielec za rogatką Belwederską, willa Bogucin—Zakłady jedwabnictwa.

— Medal zasługi ustanowiony przez Króla Serbskiego Milana dla kobiet, które w czasie ostatniej wojny serbsko-bulgarskiej odznaczyły się miłosiernie dobroczynną ofiarą pielęgnowania rannych żołnierzy, nosi nazwę: „Pamiętkowy medal królowej Natalii.“ Jest on złoty lub srebrny i ma kształt owalnego pierścienia z napisem: „za ratowanie rannych, lub chorych wojowników serbskich.“ U dołu pierścienia znajduje się jakoby przewinięta wstęga z herbem Serbii, w górze królewska serbska korona, a pierścień oplata gałąź laurowa; w samym pierścieniu umieszczony jest monograf królowej. Me-

dal ten nosić się ma na jedwabnej, jasnołilowej wstędze, przez lewe ramie zawieszanej. Królowa Natalia, która wraz z siostrą swoją, księżną Ghika, położyła rzeczywiste zasługi przy osobistym pielęgnowaniu rannych, oraz czuwaniu nad służbą i zarządzeniem lazaretów, nosi zawsze ten medal, gdy ukazuje się publicznie, na ulicach Białogrodu lub przyjmuje w apartamentach swoich. Królowa jest bardzo kochaną przez naród i może popularniejszą, niżeli król. Jest bardzo piękna i miłego, słodkiego, pogodnego wyrazu twarzy, oczy ma pełne blasku i życia.

— Francuzka siostra miłosierdzia Marya, z domu: de La Roche, pełniąc w Tonkinie służbę ambulansową, odznaczyła się takim poświęceniem, zwłaszcza przy obsłudze cholerycznych, że general de Courcy zażądał dla niej krzyża Legii Honorowej, który też prezydent Rzeczypospolitej przyznał jej natychmiast z listem pełnym wyrazów czci i uszanowaniu. Delikatna, wykwintnie wychowana hrabianka, córka starego i bardzo dumnego rodu, spełniała w lazaretach Tonkinu najniższe posługi. Dziękującemu jej za to generałowi de Courcy odpowiedziała spokojnie:—Nie chwał mnie, generale, kocham Boga, ludzkość i Francją, i im to służyłam nie z ofiary, ale z pragnienia serca, gdy ratowałam żołnierzy francuzkich.

— Czytelnicy nasi wiedzą o patryotycznym przedsięwzięciu Amerykanek nie używania zagranicznego, to jest francuzkiego jedwabiu; otóż znaczne to poczucie się obywatelskie do opieki nad przemysłem krajowym; odniosło szczęśliwie zwycięstwo nad próżnością i chęcią strojów. Najbogatsze amerykańskie panie odrzuciły stanowczo pyszne lyońskie materye i aksamity, w skutek czego miejscowy przemysł jedwabny rozwiniął się z zadziwiająco szybkością, szczególnie w Pensylwanii. W Filadelfii jest obecnie sto przedziałni fabryk tkania jedwabiu, przyczem 8,000 osób znalazło zajęcie. Obecnie wzniosły się dwie fabryki nowe: pluszu i aksamitu. Ruch ten nie datuje więcej nad lat kilka, ze skutków widać też, że został wzięty od razu do serca tamtejszej kobiety.

— Uszanowanie idei przez część dla tych, którzy jej wiernie służyć umieli, okazaniem zostało w tych czasach przez królową Małgorzatę Włoską. Szóstego kwietnia miało się odbyć w Rzymie, w Teatro Argentino, widowisko bardzo zajmujące na jakiś cel dobroczynny, i w którym mieli wziąć udział najznakomitsi aktorowie i śpiewacy rzymscy. Królowa przybrana już była w pyszną suknię z pąsowego aksamitu z przodem srebrnej lamy, głowę jej zdobiły brylanty korony włoskiej, gdy wszedł król Amodeusz, ogłaszając żonę, że hrabia Marcello Panissera di Veglio, jeden z najszlachetniejszych przyjaciół, i w sprawie odrodzenia Włoch współpracownik króla Wiktora Emanuela, umarł. Królowa natychmiast poczęła odpinać z rąk świetne bransolety i oświadczyła, że w teatrze nie będzie, bo jest to chwila żałoby dla Włoch całych.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 8-my powieści pod tytułem: *Szaletstwo*, przez Z. Mairét.

TREŚĆ. Łucya z książąt Gedroicow Rautenstrauchowa (Wspomnienie pośmiertne), przez M. Ilnicką. — Thanatopis, poezya. — Boży gniew, powieść (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń. — Kronika działalności kobiecej. **Dodatek obejmuje:** Arkusz 8-my powieści pod tytułem: *Szaletstwo*, przez Z. Mairét. — Przegląd mód. — 34 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glucksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Апрель 1886 года.